

W owym czasie mieliśmy mniej więcej po dziesięć lat. Byliśmy dziećmi wojny. Wiele wiedzieliśmy, czasem mi się wydaje, że wiedzieliśmy o wiele więcej niż teraz, gdy przekroczyliśmy trzydziestkę. Na przykład bezbłędnie, z daleka, tylko po warkocie poznawaliśmy, czy to „nasze” samoloty, czy „nie nasze”. Od różnialiśmy pociski według kolorów — zwyczajne, burzące, przeciwpancerne, zapalające, świetlne... Teraz wymieniam je nie bez trudu, wtedy jednak wiedzieliśmy, kiedy jakimi pociskami się posługiwać. Chcesz, żeby zmiażdżyło głowę, to ładuj do lufy nabój z kulą dum-dum; jeśli chcesz coś rozwalić na wylot, bierz pocisk przeciwpancerny; no, a kiedy chodzi tylko po prostu o zabicie człowieka (a na wojnie, o ile pamiętam, zabijano przede wszystkim ludzi), weź nabój ze zwykłą kulą ołowianą — bazbarwną... Nie mówię już o dystynkcjach, które nosili żołnierze i oficerowie rozmaitych krajów, których oddziały znajdowały się na wschodnim froncie: o niemieckich (w pierwszej kolejności), potem o hiszpańskich, włoskich, węgierskich, fińskich, rumuńskich, słowackich... Nie tylko rozróżnialiśmy żołnierzy wroga wedle ich strojów, ale wiedzieliśmy także, jak przy nich się zachowywać — do Niemców na ogół niebezpiecznie było się zbliżać, nigdy natomiast, jak mi się wydaje, nie baliśmy się wesołych Włochów. Gniewni, nawet srodzy bywali Węgrzy i Finowie, podczas gdy Słowacy, którzy także wojowali z „naszymi”, mogli nawet czasem nas nakarmić — nas, „słowiańskie dzieci”. Głodni zaś, jak mi się dziś wydaje, byliśmy zawsze: to brakowało jedzenia, to soli, a to jeszcze tam czego. Z tego wynika, że w czasie wojny rzadko kiedy zdarzało się nam najeść do syta. Zdarzył się, co prawda, taki

czas, gdyśmy chodzili zadowoleni. To było jesienią czterdziestego trzeciego roku, gdy właśnie wrócili nasi. Walki o naszą rzekę trwały krótko — w ciągu trzech dni wszystko było skończone, Niemcy cofnęli się do Prapojska. Jednak aż do końca czerwca następnego lata miejscowość nasza była przyfrontową, przez wioskę, spaloną co do jednej chaty (ludzie przenieśli się do ziemianek), często różne jednostki to szły na front, to z niego wracały. Zdarzało się, że czerwonoarmiści rozkładali się obozem — na ulicy, między ziemiankami — i wtedy zaczynały dymić kuchnie polowe, drażniące swymi zapachami całą wygłodzoną wieś. Warzyli nasi żołnierze zwykłą kaszę prosianą ze słoniną lub zupę z makaronem i kartoflami. Zawsze w takich wypadkach czekaliśmy, póki nie najedzą się żołnierze. Byliśmy pewni, że w kotłach zostanie coś i dla nas. I to wcale nie na dnie tylko. Wtedy podchodziliśmy przed kuchnię ze swoimi naczyniami — kto z dzbankiem, kto z garnkiem — a kucharz rozdzielał resztę jedzenia. Dopiero później, gdyśmy podrośli, zrozumieliśmy, czemu w kotłach aż tyle zostawało kaszy i czemu do kuchni nie podchodziły nasze matki: były przecież tak samo głodne jak i my; w czasie gdy żołnierze otrzymywali swoje porcje, siedziały w ziemiankach i czekały, aż powrócą dzieci. Przyszedł jednak czas, że to się skończyło. Front przesunął się daleko na zachód, więcej żołnierze nie zatrzymywali się we wsi. Nam zaś, jak i przedtem, chciało się jeść. Jak rok następował po roku, tak głód po głodzie. Każdego lata, gdy zbieraliśmy na łące szczaw (na chleb), wspominaliśmy, jak to przez wieś „przechodzili nasi, a za nimi jechały zielone kuchnie”. Żeby choć trochę się najeść, gotowi byliśmy pójść na kraj świata. Ale nikt z nas wtedy nie był pewny, czy i tam jest chleb... A jednak pewnego razu poszliśmy. Po prawdzie nie na kraj świata, ale na odległość jakich stu kilometrów. Mo-

że trochę nawet mniej, nikt wtedy nie mierzył tych kilometrów.

Poprowadził nas Wasil Karapet. Miał jakieś inne nazwisko, ale nazywano go Karapetem. Nie był on nasz, skądś przyjechał. Przywioził go i jego starszą siostrę ojciec do naszej wsi tamtej jesieni, gdy nas wyzwolono. W owym czasie w ogóle wiele ludzi do nas przyjeżdżało — swoi wracali z uciekinierki, znajomi z przyfrontowych stref przyjeżdżali do swoich znajomych, chociaż ci byli pogorzelcami, żeby jakoś tutaj przetrwać. No więc ojciec Karapeta również przywioził syna i córkę (matkę wcześniej stracili), zamieszkali w ziemiance ślepej Wulki Maharyczowej, znajdującej się przy ulicy w pobliżu jeziora, sam zaś poszedł zameldować się do wojskowego komisariatu, gdyż przedtem był w partyzantce. Zazwyczaj przyjezdni nie mieli zamiaru zostać u nas na dłużej, chcieli tylko przeczekać zły czas. Potem jednak niektórzy zostawali — po co bez sensu jeździć, wszędzie jest jednakowo, innych jednak ciągnęło do rodzinnych stron. Wasil z siostrą nie mieli dokąd wracać. Ojciec ich zaginał jeszcze nad Pronią, oni zaś nadal mieszkali u tej samej Wulki. Biedowali. Wreszcie przewodniczący sielsowietu tyle wskórał, że najpierw przyjęto ślepą Wulkę do domu starców, potem zaś Wasila do sierocińca, jednak nie rejonowego, który znajdował się przy stacji kolejowej, ale nie wiadomo czemu aż pod Starodubem. Jego siostry nie przyjęto, gdyż miała wtedy już piętnaście lat, skończyła siedem oddziałów i pracowała w kołchozie. Muszę się przyznać, że trochę Wasilowi zazdrościliśmy, będzie na rządowym chlebie i co najważniejsze, nie będzie głodować — we wsiach mówiono, że w sierocińcach karmią fasolą i amerykańskimi konserwami. Dlatego nas wszystkich bardzo zdziwiło — szczególnie jego kolegów — gdy w czerwcu, jakoś około świętego Piotra nieoczekiwanie

we wsi pojawił się Wasil Karapet. Ubrany był rzeczywiście „po rządowemu” — garnitur w prążki, choć przetarty na kolanach, czapeczka, nawet pantofle z żaglowego płótna, jednak wychudzony, bardziej wątły niż kiedyś we wsi.

— Cóż ty tak, Wasil?

Nie był rozmowny, gdy odpowiadał, to się czerwienił, jak gdyby chciano mu wydrzeć jakąś tajemnicę. Zrobił się natomiast bardzo gospodarny: przynosił z lasu jodłową korę, żeby pokryć ziemiankę, w której dotąd mieszkała siostra, chodził kilka razy z mężczyznami kosić — nie bał się naderwać w pracy, jednym słowem, sprawiał wrażenie ustatkowanego człowieka, który gdzieś zdobył życiowe doświadczenie. Niekiedy nawet nam, rówieśnikom, było aż głupio — oto Wasil pracuje razem z dorosłymi, a my jesteśmy próżniakami. Nasze matki także czasem dawały nam Wasila za przykład. Wszystko wskazywało na to, że Wasil nie ma zamiaru wracać do sierocińca. Chodziły słuchy, że Wasila chce wziąć do siebie Nasta Barysionkowa; gdy podrośnie, za jakieś trzy lata może być z niego wcale dobry mąż. Odczuwaliśmy to, że stopniowo Wasil jak gdyby od nas się oddalał. Gdyśmy byli tylko w swoim towarzystwie, często pokpiwaliśmy z Wasila, szczególnie z tego, że pójdzie do Nasty, przy nim jednak unikałszy czegokolwiek, co mogłoby mu sprawić przykrość. Rówieśnik rówieśnikiem, przyjaciel przyjacielem, ale on jednocześnie był zupełnym sierotą — to coś takiego, czego nie znaliśmy; niektórzy z nas nie mieli ojców, mieli jednak matki, Wasil zaś miał tylko siostrę, w dodatku jeszcze przecież niesamodzielną. Pewnego razu wybraliśmy się do lasu — w pobliżu dawnej pasieki podrosły w gniazdach drozdy, można było je smażyć (często w owych czasach wybieraliśmy ptaki z gniazd). Zaproponowaliśmy udział w wyprawie także Wasilowi. Początkowo chłopak

był temu niechętny, tłumaczył się brakiem czasu, wreszcie jednak się zgodził.

Do pasieki przyszlismy raniutko, jeszcze trawy lśniły rosą, ptaszki jednak znaleźliśmy tylko w jednym gnieździe, w trzech innych nie było nic prócz ptasiego pomiotu, ktoś nas wyprzedził. Cóż znaczyły ptaki z jednego tylko gniazda, głód będzie jedynie podrażniony, wielkodusznie zostawiliśmy im życie. Byliśmy zgnębieni niepowodzeniem i zawiedzioną nadzieją, ale wreszcie ktoś przypomniał:

— Koło Karniejewej krynicy też gnieźdzą się drozdy!

Do Karniejewej krynicy (tak nazywało się uroczysko, na którym kiedyś Karniej, człowiek z naszej wioski, wykopał dziś już zasypaną studnię) było daleko, może nawet pięć kilometrów z okładem, więc propozycja nie wywołała zbytniego entuzjazmu: po pierwsze, trzeba było iść aż tyle, po drugie, skąd pewność, że nam się uda, może i tam ktoś już powybierał drozdy. I wtedy nieoczekiwanie zabrał głos Wasil Karapet:

— Chcecie podjąć?

— Chcemy.

— To hajda ze mną. Do sierocińca.

— Oj, ale to pewnie bardzo daleko!

— Pójdziemy lasami. Potem można koleją. Gdzieś w Żurbinie wsiądziemy na towarowy pociąg, dojedziemy pod Starodub, a stamtąd to już blisko.

Wasil siedział na wysokim odziomku brzozowym, stoczonym czarnymi mrówkami, robił wrażenie człowieka obojętnego, naumyślnie nie patrzył na nas — proszę, nie jesteście mali, zastanówcie się. Staliśmy długo nieruchomo, przestępując z nogi na nogę, opędzając się od komarów. Wreszcie ktoś zapytał Wasila:

— A czym nas tam nakarmią?

Nawet się nie uśmiechnął:

— W najgorszym wypadku konserwami.

Mieliśmy ze sobą dwóch maluchów — Ściopkę Każanoka, który jeszcze nie chodził do szkoły, i Chłonię (chłopiec nie wymawiał słowa „słonina”, zawsze u niego wychodziło „chłoniina”, dlatego tak go przezwaliliśmy). Do domu jednak odesłaliśmy tylko Ściopkę przykazując, żeby do wieczora trzymał język za zębami: gdy nadciągnie noc, a matki zaczną o nas się niepokoić, niech wtedy dopiero powie, że poszliśmy odprowadzić Karapeta do domu sierot.

Gdy opuszczaliśmy pasiekę, słońce było już daleko od miejsca, z którego wynurzyło się rankiem, wisiało promieniste, bez kropli czerwieni, nad brzozowym zagajem, ciemniejącym po tamtej stronie kołchozowego pola, które lekko się garbiło koło samej wsi i potem stopniowo rozpościerało się za gościńcem, odsłaniając daleki widnokrąg. W lesie jeszcze czuło się ranną rześkość, jeśli zawadzić o krzak, twarz opryskiwała rosa, ale i rosa, i zimna rześkość były już jakby podgrzewane — nad ziemią unosiła się duchota, wypełniając całą przestrzeń. Oddychać było coraz trudniej. Pachniało topniejącą żywicą. Wszystko, co żywe, szukało cienia. Tylko niestrudzone skowronki to nagle spadały z wysokości, to wzlatywały, dzwoniły w zbielełym, jakby przekwitłym niebie, słysząc je było nawet i wtedy, gdy skrócić w głąb lasu, gdzie wesoło poćwierkiwały wróble na brzozech strzegących piaszczystych dróg.

Na suchych w słońcu leśnym polanach żółto kwitł dziurawiec, na ugorach, ciągnących się od skraju lasu, oddzielonych od niego rowami, kołysały się miękkie miotełki skrzypu podobnego do młodych modrzewi, obok mietlicy przekwitał złocisty rozchodnik; w dzwonczkach lnianek basem huczały trzmiiele, opasane czerwono i żółto; był to właśnie czas, gdy wszystko kwitło na łąkach i w polu, gdy nie bacząc na upały, trawy

były jedwabiste i zielone — jedynie na piaszczystych pagórkach między wioskami szeleściło przedwcześnie uwiędłe, pustokłose żyto...

Początkowo szliśmy hałaśliwie, jakby jeszcze nie wierząc w to, cośmy postanowili, potem ścichliśmy, po jakichś czterech godzinach, kiedy mineliśmy wszystkie znajome wsie, ujrzeliliśmy słomiane strzechy małej, liczącej może pięćdziesiąt zagród leśnej osady.

— Buda Pankouska — poznał osadę Wasil Karapet.

Spojrzeliliśmy na siebie ze zdziwieniem. Buda to już zupełnie inna gmina. Stąd jedna droga prowadziła do stacji kolejowej Białynkawicze, od której dzieliło nas wiele jeszcze kilometrów, druga — do przystanku Żurbín. Wybraliśmy tę drugą, ruszyliśmy gęsiego po obrzeżu, płosząc w zielonych wrzosach jaszczurki i skrzekliwe sroki, które odfruwwały do sośniaku. Za wzgórzami, gdy już osada zniknęła nam z oczu, ujrzeliliśmy człowieka. Szedł podobnie jak i my obrzeżem, ale powoli, wkrótce stwierdziliśmy, że to Niemiec — podobnie jak podczas okupacji był w furazerce, w myszaty m mundurze, ale bez naramienników, na nogach zamiast butów miał drewniane saboty. Za plecami wisiała duża torba, uszyta z płaszcza-pałatki. W torbie coś się znajdowało, ale nie musiało to być ciężkie, gdyż Niemiec poruszał się swobodnie. Nie zdziwiliśmy się ujrzawszy go, gdyż wiedzieliśmy, że na trasie Niemcy układają podkłady, ale żyje się im również głodno i niektórzy z nich przychodzą do wsi. Choć to dziwne, ale skłonne do współczucia kobiety białoruskie czasem dawały im ziemniaki i chleb, to co same miały. Do naszej wsi Niemcy nie zagłądali wiedząc, że nic się nie wyprosi u pogorzańców, a w dodatku jest niebezpiecznie: a nuż kobiety przypomną sobie przyczynę nieszczęścia! Chodzili przeważnie do tych kołchozów, gdzie nic nie spłonęło i ludzie

żyli trochę lepiej, mimo iż od kilku lat posucha nikogo nie ominęła.

— On ma w torbie jedzenie — szepnął mały Chłoni-na.

— To prawda! — nagle uświadomiliśmy to sobie z radością.

Zatrzymaliśmy się, skupiliśmy pośrodku drogi wokół Wasila Karapeta (przecież już uznaliśmy go za naszego przywódcę), wzajem wpatrując się w siebie. Nikt się nie odzywał — staliśmy w milczeniu, jednak po naszych twarzach błądził taki sam, dla wszystkich zrozumiały uśmieszek. Wreszcie znowu dał się słyszeć głos Chłoni-ny:

— Jak Boga kocham, on coś niesie w torbie!

To nas wszystkich ożywiło.

— Odbierzemy! — machnął ręką Wasil Karapet.

Przypuszczam, że w naszych oczach zabłyśły złe ognieki jak w wilczych, gdyż byliśmy bardzo głodni, przed nami zaś szedł z torbą Niemiec — jeniec. Może to był w dodatku Niemiec, który brał udział w spaleniu naszej wsi?

Zmowa dojrzewała szybko. Dopóki Niemiec, niczego nawet nie podejrzewając, wzbijał sabotami kurz na drodze, zdecydowaliśmy, że napadniemy na niego z tyłu i schwycimy torbę. Nie baliśmy się, że będzie stawiał opór, gdyż to nie te czasy. Jest przecież jeńcem. Niemiec natychmiast posłyszał tupot nóg za sobą, ale odwrócił się dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się tuż za nim, zaś Wasil Karapet pierwszy chwycił za torbę. Zsi-niała twarz Niemca przekrzywiła się, w jego oczach zastygło przerażenie. Może obawiał się, że zaczniemy go bić, gdy jednak zrozumiał, że chodzi nam o torbę, natychmiast wypuścił ją z rąk. Wyminęliśmy go z obu stron i wbiegliśmy do sośniaku w ślad za Wasilem, który niósł na plecach torbę, jak wilk owcę.

Niewiele Niemiec zdołał wyprosić — z torby wytrząsnęliśmy na trawę jakieś dziesięć surowych ziemniaków, dwie kromki chleba, który przy dotknięciu się rozsypywał, trochę jajecznicy, zapewne z czyjegoś świątecznego stołu. Było tego dla nas o wiele za mało, więc nagle ogarnął nas gniew na Niemca-fajtlapę, który nie umiał wyprosić u kobiet z Budy choćby puda kartofli.

Kartofle upiekliśmy w ogniu, podzielony chleb obłóżyliśmy jajecznicą, popijaliśmy błotnistą wodą, przynoszoną do ogniska w czapkach. Kiedy wreszcie skończyliśmy z jedzeniem, nieco się uspokajając, zaczęliśmy się wyklócać, gdyż niektórzy byli zdania, że powinniśmy zawrócić: dzisiaj trochę podjedliśmy, a co dalej, to przecież gruszki na wierzbie. W końcu usłuchaliśmy jednak Wasila, którego widocznie bardzo ciągnęło do sierocińca, i przed samym wieczorem, gdy słońcu zostało jeszcze parę kroków do tego, by schować się za lasem, wdrapaliśmy się na dach ostatniego wagonu pasażerskiego pociągu, który na minutę zatrzymał się na przystanku Żurbin. Wtedy liczni jeździli na dachach pociągów, szczególnie wiejskie kobiety i podrostki. Za dnia takich pasażerów spędzała straż kolejowa, nocą jednak jechało się spokojnie, trzeba było tylko czuwać, żeby o coś nie zawadzić i nie stoczyć się z dachu. Trzymaliśmy się go oburącz, huśtaliśmy się w rytmie wagonu i walczyliśmy z sennością. Po obu stronach pociągu przepływały w ciemnościach uśpione wsie, tylko gdzieś błyskały ogieńki. Miarowy stukot pociągu zagłuszał wszystkie inne dookolne głosy, zaś wiatr, który nagle poczuliśmy na dachu, wzdymał nasze ubrania, starał się wycisnąć z orbit nasze oczy, siekł w twarze odpryskami węgla, które leciały razem z dymem od parowozu.

Nie musieliśmy dojeżdżać do samego Staroduba, Wa-

sil wiedział, że sierociniec znajduje się w połowie drogi do Unieczy, po przejechaniu rzeki Rzecza.

— Tam nawet jest taka stacja — powiedział Karapet.

Ale jak w nocy z dachu wagonu zauważyć tę stację? Więc po Unieczy wypatrywaliśmy pierwszej rzeki. Od tej rzeki szukaliśmy sierocińca.

Znaleźliśmy się tam w porze obiadowej. Zmęczeni, jednak dobrnęliśmy. Budynek znajdował się na wzgórzu, pośrodku dawnego pańskiego sadu, był niedawno odnawiany, z daleka widziało się w ścianach świeże bierwiona. Sad otaczało wysokie ogrodzenie, droga biegła przed bramę, przy której znajdowała się psia buda. Była pusta, na ziemi leżał tylko rdzawy łańcuch. Wasil, który poczuł się nareszcie jak w domu, wyjaśnił nam:

— Spuścili Białego. Ugania się teraz za wiejskimi gęśmi. Stąd blisko sadzawki. My tam także kradniemy kaczki i potem je smażymy. Tylko żeby nie widzieli tego wychowawcy, bo doniosą do Iwana Mikitawicza, który jest dobry, ale wszyscy go się boją. Ma dziesięć medali i baretkę za ranę — Wasil zachowywał się tak, jakby nie przyjechał tutaj razem z nami, ale tylko wyszedł nam na spotkanie z sierocińca. — Ale wy nie macie czego się lękać — dodawał nam otuchy. — Pamiętajcie tylko o umowie: jesteście zupełne sieroty, nawet nie wiecie, gdzie mieszkaliście przed wojną, a dotąd włóczyliście się po stacjach kolejowych i ja was tam spotkałem. Jeżeli się zdradzicie, to wam nie uwierzą i wtedy wszystko na nic. Pamiętajcie, zupełne sieroty, włóczyliście się po stacjach...

Nie bardzo rozumieliśmy, czemu mamy kłamać, gdyż nie mieliśmy zamiaru tutaj zostawać. Komendę jednak objął Wasil, musieliśmy go słuchać: skoro się zaczęło, trzeba było wszystko doprowadzić do końca.

Mieszkańcy sierocińca poznali Wasila jeszcze przy bramie. Robili wrażenie rozleniwionych, jakby zacza-

rowanych, spoglądali na nas obojętnie. Tylko jeden z nich, wysoki i rudy, może nasz rówieśnik, podszedł do Wasila, strzyknął śliną, głośno się przywitał:

— Sie masz, łajzo! — Jakoś zabawnie zmarszczył dziobatą twarz, podrapał ręką pulchną konchę lewego ucha i zapytał, wskazując na nas:

— Co to za chłopcy?

— Aaa, przyprowadziłem — odpowiedział Wasil, opuszczając przy tym oczy; stał, jakby wstydząc się swojego uczynku, potem ujął rudego za bark, odprowadził na stronę i coś mu szeptał do ucha, rudy uważnie słuchał, zerkał na nas, kiwał krótko ostrzyżoną głową jakby na znak, że zgadza się z Wasilem. Wreszcie obaj podeszli do nas, Rudy odezwał się z taką powagą, jak gdyby wszystko od niego właśnie zależało:

— Dobrze, idźcie się wykąpać. — Jeszcze raz obejrzał nas swoimi zadziornymi oczami, ni to szarozielonymi, ni to zupełnie żółtymi. — A my z Wasilem pójdziemy do kancelarii. Trzeba pomówić z władzą. Pamiętajcie, żebyście wrócili czyści. A na obiad będą dziś buraki.

Inni mieszkańcy sierocińca wybuchnęli zgodnym śmiechem — widocznie nadto dobrze znali te buraki.

Spotkało nas jednak niepowodzenie. Zdradził nas tenże Chłonina, którego nie chcieliśmy zabierać ze sobą. Przed obiadem wszystkich nas wezwano do kancelarii i zaczęto zapisywać do księgi — nazwiska i imiona. Buchalter, starszy dziadźka w okrągłych okularach, dopytywał się o wszystko — o rodziców, o to, gdzie urodziliśmy się, inaczej mówiąc, robił wszystko z dociekliwością człowieka, który nie chce zarejestrować jeszcze kilku gąb. I oto gdy do poplamionego atramentem stołu podszedł Chłonina, zaś buchalter zadał mu pierwsze pytanie, chłopak się przestraszył i zachlipał, gdyż wydało mu się, że go zapisują, aby na zawsze zostawić w siero-

cińcu i on już nigdy nie zobaczy swojej matki, młodszego brata. Po czymś takim buchalter łatwo zorientował się w naszych zamysłach — zadał jeszcze parę pytań, już tylko dla zachowania pozorów, i wszystkich nas, łącznie z Wasilem i owym rudzielcem, wyprosił za drzwi.

Wasil ze swoim kolegą dokąds poszli, gniewnie przyrzekając, iż odszukają samego kierownika, Iwana Mikitawicza. Długo czekaliśmy na nich w sadzie, gdzie już wśród liści wisiały dość duże jabłuszka, potem wyszliśmy za bramę, usiedliśmy w cieniu pod ogrodzeniem. Trzeba było zastanowić się nad sytuacją. Przed wieczorem mogliśmy dobrać na stację, ale nie czuliśmy się na siłach — należało coś zjeść. Wściekaliśmy się, obrzucając Wasila Karapeta wyzwiskami. Gotowi byliśmy nawet rzucić się na niego, ale on się nie pokazywał. Za wszystko więc odpowiadał mały Chłonina — zbesztany, siedział z dala od nas, w samym słońcu.

W tym czasie mieszkańcy sierocińca zdążyli spożyć obiad, słyszało się w sadzie ich głosy. My jednak, jak mi się wydaje, nawet nie bardzo im zazdrościliśmy, siedzieliśmy jak odrętwiali, w naszych głowach jakby pływała gęsta gorącość, może dlatego wydawało się nam, że nad polem latają jakieś czarne muchy. Położenie nasze pogarszało się z minuty na minutę, zostawało właściwie tylko jedno wyjście — wpaść gdzieś do czyjegoes ogrodu, choć co w czerwcu można znaleźć w ogrodzie?!

Ale nagle z sadu wybiegł Wasil Karapet. Był spocony i robił wrażenie zagubionego. Ale gdy tylko nas ujrzał przy ogrodzeniu, zrobił się weselszy — mogło to oznaczać, że nas szukał.

— To wy tutaj! — zawołał.

Nie podzielialiśmy jego radości, siedzieliśmy nieporuszeni. Wtedy Wasil nieśmiało się uśmiechnął, wskazał ręką na bramę:

— Znaleźliśmy Iwana Mikitawicza! Idzie...

Rzeczywiście, zbliżał się do nas wysoki mężczyzna po czterdziestce razem z owym rudzielcem. Jeden rękaw jego bluzy był pusty, jednak nie zwisał, był zatknięty za koalicijką. Nad prawą kieszonką bluzy złożyły się i czerwieniły baretki, jedna z nich, może ta najbardziej czerwona, była pamiątką po ręce. Miał podłużną, brzydką twarz, odstające uszy i szeroki nos, był pochmurny, ale w oczach, dużych i jak gdyby nieobecnych, widniał jakiś smutek.

Gdy się zbliżył, nawet nie obrzucił nas spojrzeniem, od razu zatopił wzrok gdzieś w polu, w rozedrganym, gorącym powietrzu. Myśleliśmy, że nas zwymyśla. Jednak Iwan Mikitawicz naraz się zakaszłał, potem odezwał się głuchym głosem:

— No, co tak siedzicie?! Chodźcie na obiad!